

Biel zamków, czerń ksiąg i inne kolory

Po mostach karaimskiego Halicza, zaułkach paru uniwersytetów i meandrach genialnej literatury, gdzie spotkamy kolejarzy i kolekcjonerów, ironizujących studentów i empatycznych profesorów, oprowadzi nas Anna Akbike Sulimowicz-Keruth, turkolożka, której przekłady ksiązek Orhana Pamuka noszą tytuły tak kuszące, że wkradły się nam do tekstu.

Hanna Pilecka: Chociaż obie dorastałyśmy i zdobywałyśmy wykształcenie w wielkich miastach Europy Środkowej, to ten Halicz, w którym urodzili się nasi ojcowie, wciąż jest w nas obecny. U mnie nie wyszło to poza strefę wspomnień pięcioletki czy sentymentu do halickiej gminy karaimskiej, ty natomiast zostałam jedynym z nieformalnych kustoszy tego swoistego „muzeum niewinności”. Proszę, opowiedz nam o swoich związkach z Haliczem.

Anna Sulimowicz-Keruth: Halicz to miejsce urodzenia mojego ojca – ja zobaczyłam je już jako całkiem dorosła osoba. Okazja nadarzyła się w 1989 roku, gdy w Trokach zorganizowano zjazd karaimski, na który przyjechała ciocia Janka Eszwowicz. Bardzo chcieliśmy pojechać do Halicza, więc zgodziła się nas zabrać. To były jeszcze czasy Związku Radzieckiego. Wystąpiliśmy oficjalnie o zgodę na wyjazd do innej republiki, po czym wsiedliśmy w pociąg i po dosyć długiej podróży wylądowaliśmy w Haliczu na dziesięć dni. I tak właśnie pierwszy raz zobaczyłam miejscowość, o której tyle słyszałam i która była przedmiotem nieustannych opowieści mojego stryja Siunka ze Świnoujścia. Potem odwiedzałam Halicz jeszcze kilkakrotnie.

W jakim składzie podróżowaliście wtedy do cici Janki?

Z bratem i stryjem. Tamtego lata odbywał się tam pierwszy na Litwie zjazd karaimski w Trokach,



Anna Akbike Sulimowicz-Keruth, warszawianka z urodzenia, haliczanka po ojcu. Opowieści o Haliczu słuchała od dziecka, ale miejsce to zobaczyła już jako osoba dorosła

a zarazem drugi, w którym przedstawiciele z tak zwanej zagranicy brali udział – rok wcześniej na podobny zjazd w Warszawie przyjechała również delegacja karaimska z Trok. Do Trok pojechaliśmy z moim bratem Adamem oraz naszym stryjem Markiem z Olsztyna, którego w zasadzie widzieliśmy wtedy chyba drugi raz w życiu. Zdecydował się wybrać do Trok, a stamtąd razem dotarliśmy

do Halicza, gdzie stryjek nie był od 1939 roku. Dla nas była to zatem nowa podróż sentymentalna, a dla niego powrót do miejsca urodzenia, gdzie spędził pierwszych dwadzieścia parę lat życia.

Wtedy w Trokach przedstawiłaś mnie swojemu stryjowi, ale zdziwiło mnie, że nie ma na imię Siunek, a Marek. Od moich rodziców, którzy bardzo cenili waszego ojca i nie mogli się pogodzić z jego stratą, słyszałam dużo dobrego o Siunku. Tak się potoczyły losy rodziny, że młodszy brat zajmował się dziećmi starszego. Stryj Marek miał dosyć burzliwe życie uczuciowe i rodzinne. Zaraz po wojnie pozostał się z ciotką Walą i w pewnym sensie opieka nad ich synem, Sławkiem, przypadła mojemu ojcu, który z Wrocławia, a potem z Warszawy próbował choć trochę być obecny w życiu swojego bratanka, mimo że Sławek mieszkał w Trójmieście. Natomiast kiedy mój ojciec zmarł, a my z Adamem mieliśmy wtedy dziewięć i siedem lat, to w taką właśnie rolę „pełniącego obowiązki ojca” wszedł najmłodszy z braci, Siunek, który mieszkał w Świnoujściu.

W jakich okolicznościach stryj Siunek opuścił rodzinne miasto? I co wam o nim opowiadał? Wydaje mi się, że wzięto go „w żołdacy” na wiosnę 1940 roku, a może jeszcze z poborem jesiennym w 1939 r. został przymusowo wcielony do Armii Czerwonej. Wtedy opuścił Halicz, a wrócił do niego na krótko pod koniec 1945 roku, zanim wyjechał w ślad za resztą rodziny do Polski. Zatem te jego opowieści o Haliczu z lat dwudziestych i trzydziestych to były wspomnienia z dzieciństwa i wczesnej młodości – historie o ludziach, ale też w dużej mierze o miejscach, drzewach, domach. Bardzo dokładnie starał się nam to opisywać i w 1989 r. po powrocie z Halicza opowiadałam mu, jak wszystko teraz wygląda. Przed wyjazdem wynotowałam sobie z jego opowieści listę rzeczy, które muszę sprawdzić, czyli na przykład: czy w rogu ogrodu dziadków rośnie jeszcze stara brzoza z gniazdami wron albo gawronów, których wujek się bał w dzieciństwie, oraz czy nadal istnieje chodnik odchodzący w stronę dworca od ulicy Kolejowej, przy której mieszkali dziadkowie? Dworzec nie leżał bowiem dokładnie u wylotu ulicy, tylko był trochę przesunięty w prawo. Gdy wróciłam, to mogłam opowiadać, że niestety, brzozy nie ma, ale ten chodnik z połamanymi płytami nadal istnieje.



Józef Sulimowicz (1913–1973), ojciec Anny, był turkologiem z wykształcenia, oficerem z zawodu, bibliofilem z zamiłowania



Utraconego w dzieciństwie ojca zastąpił stryj Siunek, czyli Edmund Sulimowicz. Wizyty u niego w Świnoujściu były okazją do nieustannych opowieści o halickich Karaimach

Moja rodzina Abrahamowiczów mieszkała w Załukwi. Jako dziecko zapamiętałam, że ta wioska była tuż obok Halicza, jakby przyklejona do tego miasta z niezwykłą ulicą Karaimską, gdzie z czułością goszczono nas w wielu domach... Jak właściwie wyglądała relacja między karaimską Załukwią a miastem?

Halicz leży nad Dniestrem, przy ujściu niewielkiej rzeki Łukwi. Most na Łukwi łączył miasto z Załukwią. W tamtych czasach była to wieś, w której mieszkało kilka rodzin karaimskich zajmujących się rolnictwem – między innymi właśnie Abrahamowicze, a także jedna rodzina Eszwoviczów. Karaimi mieszkali też w samym mieście, gdzie byli

skupieni w kilku punktach. Przede wszystkim należy tu wymienić ulicę Karaimską, czyli pierwszą ulicę biegnącą wzdłuż Dniestru. Natomiast „pod górą”, idąc wzdłuż góry zamkowej, trafiamy na ulicę noszącą dziś nazwę Osmomysła, gdzie mieli siedzibę Ickowicze. Były tam jeszcze jakieś inne domy karaimskie, ale w czasach, o których stryjowi trudno już było szczegółowo opowiadać. W drugą stronę od zamku z kolei mieli swój dom z ogrodem mecenasostwo Nowachowicze. Moi dziadkowie natomiast pobudowali się na początku lat 20. po drugiej stronie Dniestru, naprzeciwko miasta, z którym łączył ich most żelazny skonstruowany w 1910 r. – zresztą potem dwukrotnie zniszczony: i w pierwszej, i w drugiej wojnie światowej.

Ale odbudowany! Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobił na mnie, kiedy furman, pomagający w gospodarstwie mojej babci, odwoził nas o święcie na pociąg. Bezmiar wody, stuk kopyt o żelazo i majestat tych łuków...

On nadal istnieje, ale pełni już raczej rolę kładki, ponieważ obok, równoległe do niego i bliżej Załuki, wybudowano drugi most. Moi dziadkowie mieli dom przy ulicy Kolejowej, która prowadziła od mostu w stronę dworca. Żebym nie skłamała, ale wydaje mi się, że stację zbudowano pod koniec lat 80. albo na początku lat 90. XIX wieku. Mój dziadek Leon Sulimowicz był kolejarzem, maszynistą. Postawił dom blisko dworca, żeby mieć blisko do pracy – i nie był w tej decyzji odosobniony, bo kawałek dalej miał swój dom Zacharko Leonowicz, konduktor kolejowy. A tak zwany Wujcio Naczelnik, czyli brat mojej babci Heleny, Szymon Ickowicz, który jako zawiadowca stacji pełnił rozmaite obowiązki w różnych miejscowościach, też miał dom w Haliczu, gdzie także przez pewien czas pracował. Jego żona, ciocia Anda, była nauczycielką i bryczką jeździła z Halicza do Wodnik, gdzie uczyła w szkole, o czym pisałam już zresztą w „Awazymyz”. Jeszcze sobie przypominałam, że za rampą mieszkał Nowach Ickowicz, pracownik warsztatów kolejowych, jeszcze jeden Karaim zawodowo związany z koleją. Zatem była cała grupa Karaimów, która mieszkała na tak zwanym Zarzeczcu, czyli po tej drugiej stronie od miasta.

Dzięki tym dwóm mostom Karaimi mogli się spotykać.

Tak, spotykali się w kienesie na modłach i przy okazji rozmaitych działań społeczno-kulturalnych,



Dom dziadków – Leona Sulimowicza i Heleny z Ickowiczów – przy ulicy Kolejowej na Zarzeczcu w Haliczu. W roku 2002, gdy zrobiono to zdjęcie, zachował jeszcze wiele dawnych elementów

jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli. Mój dziadek był bardzo aktywny na tym polu jako miłośnik teatru. Występował w amatorskim teatrze kolejowym w Stanisławowie, a później reżyserował karaimskie przedstawienia w domu gminnym wybudowanym w 1934 roku, gdzie młodzi Karaimi wystawiali sztuki karaimskich autorów takich jak Józef Łobanos czy Szymon Firkowicz.

Szkoda, że Zachariasz Abrahamowicz nie dożył tych czasów. To wspaniały, przedwcześnie zmarły halicki poeta, którego lepiej poznałam dzięki twoim publikacjom. Zawdzięczam ci też dosłowne przekłady tych jego wierszy, które napisał po karaimsku. Bez twojego przewodnictwa nie umiałabym się poruszać po jego poezji i po tamtym Haliczu z przeszłości.

Czym jest dla mnie tamten karaimski Halicz? Można powiedzieć, że mam potrójne szczęście, bo po pierwsze – zajmuję się nim zawodowo, po drugie – to moje hobby, a po trzecie – jest to temat, który dotyczy też mojej rodziny, przodków, tego skąd jestem i kim jestem. Nie ukrywam, że dla mnie przeszłość jest co najmniej tak ważna jak teraźniejszość. Chodzi mi też o ludzi, bo historia oczywiście może być w skali makro opowieścią o dziejach państw, narodów, władców, mnie natomiast interesują mikrohistorie, czyli poznawanie postaci. Także takich, które

w zasadzie nie zaważyły wiele na losach społeczności, ale po prostu były. I chciałabym dowiedzieć się więcej o tym, jak żyli, z czego się utrzymywali, jakie mieli charaktery, aby – jeżeli się uda – stworzyć sobie obraz tej społeczności, której właściwie nie poznałam, bo kiedy pierwszy raz przyjechałam do Halicza, to w zasadzie przechodziła już do historii. Żyły jeszcze ciotcie, czyli Janka Eszwowicz i jej kuzynki: Lusja, czyli Amelia Eszwowicz (Szuhurowa) oraz jej siostra, tak zwana mała Janka Eszwowicz, żyła również Ada Zarachowicz, a pod górą ciotka Sabina z Ickowiczów Zajączkowska. Poznałam także brata ciotki Ady, wujka Mundka. Tak, jeszcze wtedy było kilkoro Karaimów w Haliczu, a dziś została tylko jedna osoba, Szymon Mardkowicz. Ta gmina przestała istnieć, tym bardziej więc ciekawią mnie jej członkowie i ich losy.

Jak postrzegasz pracę Muzeum Historii i Kultury Karaimów w Haliczu?

Muzeum karaimskie jest bardzo istotną placówką. Cieszę się, że zostało założone. Stało się to za sprawą ciotki Janki, która zebrała to, co można było jeszcze zebrać. Dzięki niej powstała kolekcja, która dzisiaj jest przechowywana w muzeum. Pracujący tam ludzie robią bardzo wiele dla zachowania wiedzy o Karaimach. Ten aspekt wydaje mi się najcenniejszy, bo oczywiście bardzo ważne jest sprawowanie opieki nad zabytkami, różnymi artefaktami, ale również niezmiernie istotny jest fakt, że Muzeum uświadamia nie tylko turystom, ale przede wszystkim mieszkańcom Halicza, że Karaimi stanowili część historii tego miasta. Placówka gromadzi właściwie wszystko, więc pod tym względem można powiedzieć, że zbliża się do idei „muzeum niewinności”, tej kolekcji, którą zgromadził bohater książki Kemal, w pewnym sensie alter ego pisarza. Zresztą później ekspozycję na podstawie tego, co mogło się znaleźć w kolekcji Kemala, odtworzył dla potrzeb fizycznie istniejącego Muzeum Niewinności w Stambule właśnie autor powieści, Orhan Pamuk.

Moja rodzina po mieczu oprócz halickich korzeni miała też i łuckie. Czy dotyczące Łucka tematy twoich prac naukowych również wiążą się z jakąś historią rodzinną?

Po części tak, to znaczy zainteresowanie Łuckiem, kiedy się we mnie zrodziło, nie miało nic



W Haliczu z cioćiami: „Małą” Janką Eszwowicz (pośrodku) i jej siostrą, Lusią Szuhurową z mężem

wspólnego z rodziną jako taką, zafascynowała mnie po prostu ta gmina. Była najmniejsza wśród gmin karaimskich z okresu międzywojennego, a stała się miejscem niezwykle rozwoju języka, literatury i kultury karaimskiej w tym czasie dzięki postaci Aleksandra Mardkowicza, którego życie i działalność były przedmiotem mojej pracy magisterskiej napisanej o Łucku prawie czterdzieści lat temu. Później szukałam tematów i inspiracji między innymi w kolekcji mojego ojca, ponieważ on też był zbieraczem (to, można powiedzieć, jest zalążek kolejnego „muzeum niewinności”, które formalnie jeszcze nie powstało, ale może kiedyś powstanie?). Znalazłam tam bardzo dużo materiałów dotyczących gminy w Łucku. Sam pomysł napisania czegoś o łuckiej gminie zrodził się we mnie bardzo dawno temu, natomiast dopiero przed siedmiu laty udało mi się sfinalizować pracę doktorską na temat życia społecznego i kulturalnego tej gminy w okresie międzywojennym. W taki sposób te zainteresowania znalazły swój wyraz w postaci pracy.

W tak zwanym międzyczasie, czyli próbując skatalogować i zinwentaryzować materiały, które ojciec pozostawił, zaczęłam się interesować także genealogią karaimską. To, co stanowiło dla mnie w pewnym sensie odkrycie, to fakt, że w zasadzie kontakty były nie tylko między gminami, ale miały przede wszystkim charakter rodzinny. I kiedy Karaimi mówili, że ktoś jest z Łucka czy ktoś jest z Halicza, to wcale nie znaczyło, że jego rodzice czy dziadkowie mieszkali w tej miejscowości. Karaimi byli bardzo mobilni w dawnych czasach, zdarzały się mariaże między gminami,

z innych powodów też się przesiedlano. To za interesowanie Łuckiem zmobilizowało mnie do poszukiwania korzeni łuckich Karaimów i okazało się, że bardzo wiele więzi łączy Karaimów łuckich i Karaimów halickich. Nie wiem, Haniu, czy ty wiesz, że jesteś potomkinią – co prawda od twojego pradziadka już nie w linii bezpośredniej męskiej, ale w linii żeńskiej – osiemnastowiecznego karaimskiego uczonego Simchy Izaaka Łuckiego, który był jednym z najbardziej interesujących i oryginalnych myślicieli karaimskich. Pamięć o nim, owszem, istnieje, ale chyba nie bardzo wśród samych Karaimów, a warto wiedzieć, że taka niezwykła postać żyła i działała. Pochodził z Łucka i wyjechał na Krym, gdzie później zmarł. Znamienne, że nosił przydomek od swej rodzinnej miejscowości.

O pokrewieństwie nie wiedziałam, dziękuję pani kustosz (śmiech).

Natomiast jego potomkowie, którzy zostali w Łucku, nosili nazwisko Kaliski – od Kale na Krymie.

To nazwisko spotykałam w Polsce jeszcze jako dziewczynka. Pan Kaliski z Opola przyjął mnie pod swój dach na ostatnie dni życia mojej babci i na czas organizacji pogrzebu. Tak się Karaimi nawzajem wspierali.

To był pan Józef Kaliski. Ja niestety już go nie poznałam. Kiedy zmarł, byłam dopiero na studiach. Wiem natomiast, że utrzymywał bliskie kontakty z moim ojcem i to on właśnie przekazał mu archiwum gminne, które stało się podstawą mojego doktoratu.

Studiowałaś w dwóch pięknych miastach stołecznych. Tym drugim była czeska Praga, gdzie obroniłaś dysertację doktorską. Jak do tego doszło?

Muszę przyznać, że byłam bardzo „przechodnym” magistrem, ponieważ studia na Uniwersytecie Warszawskim skończyłam w 1987 roku. W międzyczasie, równoległe z pracą na uczelni, wykonywałam inne zawody. Powinnam była wcześniej zrobić doktorat, ale wskazany przez moich nauczycieli zakres dotyczył językoznawstwa, a konkretnie dialektu krymskiego. Ten temat, powiem szczerze, nie budził zupełnie mojego entuzjazmu. Brakowało mi w nim ludzi – wiedziałam, że moja praca nie mogłaby być o czymś wyłącznie, tylko musiałyby być także o kimś.

Tak mijały lata, aż ponad dwadzieścia pięć lat po magisterium zaczęłam studia doktoranckie na Uniwersytecie Karola w Pradze, dosyć rzeczywiście niespodziewanie. Otóż pewnego razu skontaktował się z nami, ze Związkiem Karaimów Polskich, czeski badacz, historyk, którego interesowała społeczność karaimska w Polsce, ale także na Wołyniu, gdzie mieszkało też wielu Czechów. Poszukiwał tematu badawczego dla siebie. Spotkaliśmy się i powiedziałam mu, że mnie też interesuje Wołyń, interesują mnie Karaimi na Wołyniu oraz Karaimi w Łucku, że mam materiały i tak myślałam, że może kiedyś coś z tego napiszę. To spotkanie otworzyło drogę do pewnych poszukiwań zarówno dla niego, jak i dla mnie, bo to właśnie on, profesor Peter Kaleta, poinformował mnie, że Husitská Teologická Fakulta, czyli Wydział Teologii Husyckiej, prowadzi studia doktoranckie w zakresie judaistyki. Studia w systemie kombinowanym, czyli można powiedzieć eksternistycznym: jest określona liczba przedmiotów do zaliczenia, ale na uczelni trzeba pojawiać się tylko dwa albo trzy razy do roku na egzaminy. Bardzo mi to odpowiadało, bo nie miałam możliwości przenieść się do Pragi na stałe, więc odbywałam takie studia trochę zaoczne, lecz całkiem serio – przez cztery lata musiałam zdać wszystkie egzaminy, napisać i obronić pracę.



Świeżo upieczona doktor teologii podczas uroczystej promocji doktorskiej na Uniwersytecie Karola w Pradze

Wiem, że egzaminy zdawałaś po angielsku. Czy pracę doktorską też pisałaś w tym języku?

Nie, po polsku – mój promotor jest Czechem polskiego pochodzenia i zna polski, jak również kilka innych języków słowiańskich.

A w jakim kierunku po tym waszym spotkaniu poszedł profesor Kaleta?

Zainteresował się migracją Karaimów krymskich w okresie po rewolucji październikowej, a także migrantami karaïmskiego pochodzenia w Czechach, co zaowocowało wydaniem niezwyklej, pionierskiej pracy *Tajemné etnikum z Krymu. Osudy příslušníků karaïmské emigrace do meziválečného Československa (Tajemniczy etnos z Krymu. Losy członków karaïmskiej emigracji do międzywojennej Czechosłowacji)*. Książka jest poświęcona tym Karaimom, którzy w okresie porewolucyjnym, jako uciekinierzy przed bolszewikami, czy to przez Turcję, czy przez Bułgarię, czy też Rumunię trafili na emigrację do Czechosłowacji i tam próbowali znaleźć nowe miejsce do życia – i albo je znaleźli, albo Czechosłowacja okazała się przystankiem w ich podróży dalej na zachód, na przykład do Francji. Były wśród nich postacie zupełnie niezwykle, takie jak chemik Izaak Pastak czy znana ilustratorka i graficzka Żenia Minasz (Genia Minache). Niektórzy z nich osiedli na stałe w Czechosłowacji. Potomkiem jednego z takich emigrantów jest ceniony czeski pisarz Michał Ajvaz. Były to bardzo ciekawe, a nieznane wcześniej – nawet samym Karaimom – losy, które zostały odkryte przez Petra Kaletę.

Wiedza o tym okresie, o tych ludziach wzbudziła zainteresowanie także naszej karaïmskiej społeczności, a dla mnie była to okazja, żeby wziąć się do roboty – jak to się mówi: przysiąc fałdów – i zrobić ten tak długo odkładany doktorat. Co zresztą jest już w pewnym sensie rodzinną tradycją – mój ojciec Józef Sulimowicz, który studiował turkologię w okresie międzywojennym w Warszawie, a należał do pierwszego rocznika przyjętego do Seminarium turkologicznego prowadzonego przez profesora Ananiasza Zajączkowskiego w nowopowstałym Instytucie Orientalistycznym, także studiował dosyć długo. Latem 1939 r. spędzał wakacje w domu w Haliczu, pisząc swoją pracę magisterską, i tam go zastał 17 września. Pracy nie zdążył ukończyć. Choć uzyskał absolutorium, nie złożył wtedy egzaminu



Przed budynkiem rektoratu Uniwersytetu Karola w Pradze

magisterskiego. Dopiero trzydzieści lat później, w roku 1969, wznowił studia i wreszcie zdobył upragniony tytuł magistra. A ja po trzydziestu jeden latach od magisterium zrobiłam doktorat.

Czy pamiętasz, jak tata zabierał się do tej pracy magisterskiej na nowo i jakie uczucia mu towarzyszyły?

Widzisz, kiedy ojciec wznowił studia i pisał swoją pracę magisterską – już na inny nieco temat niż tamtą niedokończoną, bo poświęconą tekstem w języku karaïmskim w modlitewniku wydanym na Krymie w 1734 r. – to ja miałam niespełna pięć lat. I przyznam szczerze, niewiele pamiętam. Zresztą gabinet ojca i jego praca to była sfera, do której z bratem nie mieliśmy raczej wstępu. Naszym zadaniem było nie przeszkadzać. Z Uniwersytetem Warszawskim mam natomiast pewne bolesne wspomnienie. Pewnego razu ojciec zabrał mnie na Krakowskie Przedmieście. Odwiedzaliśmy tam jakieś osoby i pomieszczenia, lecz nie to utkwiło w mojej pamięci, tylko brama. Była otwarta, ale tam, gdzie dzisiaj stoi szlaban, wtedy wisiał dosyć nisko zawieszony żelazny łańcuch – próbowałam go obiema nogami przeskoczyć, ale zahaczyłam o łańcuch i zbiłam sobie kolano. W drodze powrotnej postanowiłam drugi raz spróbować skoku i rozbiłam drugie kolano – i to jest moje najwcześniejsze wspomnienie związane z Uniwersytetem Warszawskim, na którym potem studiowałam, a od blisko czterdziestu lat pracuję.

*Był ci pisany.
Krwią okupiony.*

Rozumiem, że masz na myśli tę białą bramę na Krakowskim Przedmieściu?

Tak, główne wejście od Krakowskiego Przedmieścia.

Lubię uniwersytecką architekturę, więc zagładanie przez tę bramę zawsze sprawiało mi przyjemność, a kiedy zobaczyłam tłumaczony przez ciebie Biały zamek, nadałam jej właśnie taki pseudonim. Ja magisterium obroniłam tuż przy Plantach i Collegium Maius, lecz nasz instytut miał bardziej prozaiczne ksywki: „Gołębnik” (bo przy ulicy Gołębiej) i, o zgrozo, „Szkoła żon” – niby z Moliera, ale z seksistowskim podtekstem, bo głównie dziewczyny studiowały polonistykę.

Krakowscy studenci też brali udział w wakacyjnych kursach językowych w Turcji, na które wyjeżdżałam w ramach stypendium. Później odwiedzałam poznaną tam koleżankę w Krakowie i pamiętam, że turkologia UJ mieściła się w wysokim budynku Paderevianum, które z kolei przezywano też mało gustownie: „Pawianum”.

Przez dwa lata biegałam tam na łacinę. Klastrofobiczne piętra na kolejne filologie, beton i windy, zupełnie inaczej niż w naszych renesansowych budynkach. Jednak to miejsce kojarzy mi się też dobrze, z profesorem turkologii Włodzimierzem Zajączkowskim. Po latach moi nieco starsi znajomi wspominali Włodka jako wspaniałego pedagoga, a dla mnie był serdecznym karaimskim wujkiem. Mówię o tych filologiach, bo my, teatrologi i filmoznawcy z Gołębnika, przez pięć lat bez przerwy coś na zaliczenia pisaliśmy i doskonaliliśmy język polski, niemniej wielu z moich kolegów dostało by kompleksów, analizując twoją polszczyznę tłumacza. Czytam teraz dużo Pamuka i kiedy na chwilę chciałam odetchnąć od jego niesamowitych konstrukcji zdaniowych, sięgnęłam po turecką prozę kobiecą w twoim przekładzie. Lecz ta Elif Şafak to znowu misternie spiętrzone zdania, równie kunsztownie przetłumaczone! Jak to jest z twoją – najwyraźniej odwzajemnioną – miłością do literatury? Czy zaczęła się w tym gabinecie pełnym książek, do którego mnie kiedyś wpuszczono wraz z moją

mamą, wielką admiratorką rozmów z twoim ojcem?

Ojciec był bibliofilem chyba od samego początku. Nie wiem, może w czasach studenckich nie było go stać na kupowanie wielu książek, ale starał się pozyskać różne tytuły – w jego księgozbiore są takie, które noszą jego podpis i datę 1937, czyli nabył je podczas studiów. Trochę książek, a właściwie głównie czasopism, przywiózł z Turcji ze stypendium w 1936 roku. Myślę, że takim punktem zwrotnym, który dał mu możliwość realizowania bibliofilskiej pasji, był powojenny pobyt we Wrocławiu. Pod koniec lat 40. za różne tam, że tak powiem, dowcipy i zbyt śmiałe żarty, został przeniesiony karnie z marynarki wojennej w Gdańsku do wojsk lądowych we Wrocławiu, skąd przywiózł wiele ponemieckich książek dotyczących szeroko pojętego Orientu, które go najbardziej interesowały, oraz takich, które po prostu były pięknie wydane. I zbierał książki, zbierał przede wszystkim te, które dotyczyły Karaimów, świata tureckiego, Turcji, ludów tureckich. Od początku lat 60. do przejścia w stan spoczynku w 1972 r. był dyrektorem Centralnej Biblioteki Wojskowej i zawsze dbał o to, żeby jej zbiory zaopatrywane były także w tytuły humanistyczne, również z ukierunkowaniem na Orient. W naszym domu zawsze były książki. Pod



Redaktorka czasopisma kobiecego przy pracy

tym względem rodzice się bardzo dobrze dobrali, bo moja mama także jest miłośniczką literatury. Bardzo lubiła czytać, teraz wzrok już jej nie pozwala, więc mój brat czyta jej na głos. Adam też jest bibliofilem, klasycznym wręcz mołem książkowym, który czyta kilkadziesiąt pozycji rocznie, zarówno literatury pięknej, jak i literatury faktu czy pozycji historycznych. Ja też mam sporo książek w domu, gorzej, niestety, z półkami na nie.

Znam ten ból. Mój tata w czasach deficytów meblarskich wznosił pod sufit regały ze związanych drucikiem drewnianych skrzynek po cytrusach, ale w krakowskiej kamienicy pokoje były o metr wyższe niż w moim nowym gdańskim mieszkaniu...

Ja wnetkę okienną w pokoju do pracy wypełniam teraz stosami książek – nawiedza mnie czasem myśl, że gdyby doszło do jakiejś wojny, to przynajmniej będą osłonięta od odłamków i rykoszetów.

Zanim zamilkną Muzy, spytam, co w dzieciństwie kształtowało twój gust literacki.

Już w szkole podstawowej dużo czytałam. Jeszcze zanim zaczęłam naukę, ojciec uczył mnie liter na egzemplarzu *Biblii*. Jednocześnie pokazywał mi pismo cyryliczne – pierwszym wyrazem, który samodzielnie odczytałam, był napis »АВИА« na kopercie listu od kogoś ze znajomych ojca w ZSRR.

Z lektur dzieciństwa pamiętam wydanie mitów greckich, a w zasadzie wybór mitów greckich Gravesa z ilustracjami Mai Berezowskiej – gdy odwiedzaliśmy ojca w szpitalu, trochę się mną popisywał przed innymi pacjentami, każąc sobie opowiadać mity. Był jeszcze taki tom, teraz nie pamiętam czyjego autorstwa, ale wiem, że był to wybór *Baśni z tysiąca i jednej nocy* z bardzo pięknymi ilustracjami – kolorowymi miniaturami indyjskimi ze złoceniami. To mi się wydawało niezwykle piękne.

Taka biaława księga w twardej okładce, prawda? Chyba ojcowie-orientaliści kupowali nam dokładnie te same książki.

Taka jasnobezowa okładka... Ojciec zmarł, kiedy miałam dziewięć lat. Nie wiem, czy on to posiadał we mnie, czy po prostu z tego przebywania wśród orientalnych przedmiotów, których u nas w domu było pełno, wyrosła we mnie taka miłość do wschodniej estetyki i wszystkiego, co

orientalne. Pamiętam, że jako dziecko chodziłam z babcią albo z dziadkiem na lody do Zielonej Budki, która była wówczas prawdziwą Zieloną Budką, nie produktem Nestle, i mieściła się na Puławskiej. I jak tam żeśmy szli, to mijaliśmy zakład fotograficzny Orwo, na którego wystawie było kolorowe zdjęcie jakieś hinduskiej czy tajskiej tancerki, obiekt mojej fascynacji. Za każdym razem, jak tamtędy przechodziliśmy, to musiałam tę orientalną tancerkę koniecznie obejrzeć.

A jakie książki najchętniej czytałaś w liceum? Pytam, bo to, co znajduję u Pamuka czy u Şafak, jest tak wielowarstwowe, że przypomina mi moje licealne fascynacje iberoamerykańskim realizmem magicznym.

W liceum już czytałam wszystko, co mi wpadło w ręce, ale miałam oczywiście ulubione obszary, głównie literaturę historyczną, a dokładnie powieści historyczne, tak bym to określiła. Pamiętam, że ogromne wrażenie zrobił na mnie jako trzynasto- czy czternastoletce cykl powieści Maurice'a Druona *Królowie przekłęci* o ostatnich Kapetyngach. Mama z racji pracy w szpitalu, gdzie był kiosk z książkami, miała odkładane przez zaprzyjaźnioną panią kioskarkę wszystkie nowości, więc czytałam bardzo dużo różnych książek. Przeżyłam swój okres fascynacji *Władcą Pierścieni* w pierwszym tłumaczeniu Marii Skibniewskiej. Byłam i jestem nadal wielką miłośniczką prozy Prousta – *W poszukiwaniu straconego czasu* pochłonęłam ciągiem, po prostu nie mogłam się oderwać. Pierwsze tomy tłumaczone przez Boya-Żeleńskiego to absolutne mistrzostwo, jeżeli chodzi o przekład. Jest takie znane powiedzenie, że przekłady są jak kobiety: albo piękne, albo wierne. To akurat jest naprawdę piękny przekład. Nie wiem, jak z wiernością – czytanie Prousta w oryginale było moim marzeniem, które skłoniło mnie do wymuszenia na mojej mamie, żeby mi załatwiła naukę francuskiego. Jako licealistka chodziłam więc na lekcje tego języka, ale niestety, Prousta w oryginale nie przeczytałam, skończyło się na Colette.

(śmiech) Tyż piknie, jakby powiedział każdy góral znający się na literaturze.

Ale przynajmniej zmierzyłam siły na zamiary. W tej chwili oczywiście nie mówię po francusku, ale jak coś mam do przeczytania, to jestem w stanie zrozumieć, więc co nieco mi w tej głowie zostało. Teraz odkrywam, bo nie czytałam

jej wcześniej, literaturę czeską i niezwykle mi się ona podoba. To jest oczywiście sprawka Mariusza Szczygła i jego *Osobistego przewodnika po Pradze*. Trochę żałuję, że nie przeczytałam tej książki przed studiami na Uniwersytecie Karola, ale z drugiej strony może i lepiej, bo wtedy poznałabym miasto według cudzego schematu, a tak poznałam Pragę według własnego. Wiele rzeczy tam podkrywałam na swój własny użytek.

A jeśli chodzi o „inne kolory”, które się pojawiały w twoim życiu, czy rozważałaś inne pomysły na studia? Czy na przykład ty albo twój brat nie planowaliście pójść w ślady mamy, na medycynę?

Oboje z bratem jesteśmy turkologami. Żadne z nas nigdy nawet nie myślało, żeby zostać lekarzem. To był zawód, który mnie zupełnie nie pociągał. Być może dlatego, że ojciec zmarł wcześniej i podjęłam w pewnym sensie próbę odzyskania go w tym, co będę robić w życiu. Niewątpliwie byłam wychowana w swego rodzaju kulcie ojca – ojca, który zmarł, ale zostawił bibliotekę jako materialny ślad swojej obecności. „A jak ty umarniesz, to ja wszystkie twoje książki przeczytam” – jako małe dziecko miałam mu ponoć oświadczyć, gdy nie pozwolił mi buszować po półkach w jego pokoju.

Pod koniec liceum pytano nas, uczniów, w jakim kierunku chcemy się dalej kształcić. Wtedy miałam różne pomysły. Mimo że chodziłam do klasy humanistycznej, to myślałam, że może udałoby mi się dostać na biologię, ponieważ bardzo mnie interesowały rośliny i ślimaki, mogłabym zostać botanikiem albo malakologiem. Zbierałam zresztą pasjami muszle – w taki naukowy sposób, nie tylko, żeby postawić na regale, ale z klasyfikacją, oznaczeniem gatunku i tak dalej. Lubiłam też rysować, lubiłam plastykę i zastanawiałam się, czy nie spróbować swoich sił w szkole wzornictwa przemysłowego w Łodzi, ale czułam, że po pierwsze – to nie jest to, po drugie – istniało duże ryzyko, że się nie dostanę na studia, bo znowu aż tak utalentowana nie byłam. Z kolei na biologię trzeba było zdawać fizykę, a z tym przedmiotem miałam pewne problemy. Dlatego gdy się pojawił u nas w domu wujek Olek Dubiński z formularzami podania o przyjęcie na studia turkologiczne i powiedział: „Podpisz tu!”, to po prostu, jak to grzeczna dziewczynka, wzięłam i podpisałam – i tak znalazłam się na turkologii, czego w żaden sposób nie żałuję. I myślę, że mam szczęście pod

tym względem, że moja praca jest jednocześnie moim hobby.

Czy turecki był też językiem wykładowym?

Nie, na turkologii nauka języka jest od podstaw, od zera. Teraz już się zdarzają osoby, które przechodzą na studia z większą lub mniejszą znajomością języka, ale w moich czasach nikt z nowoprzyjętych nie znał słowa po turecku. Na pierwszym roku przewidziano czternaście godzin tureckiego tygodniowo. Wówczas na UW nie było lektora native speakera, wykładowca przyjeżdżał z Krakowa co dwa tygodnie i mieliśmy zajęcia w piątki i soboty od rana do wieczora. Po drugim i ponownie po trzecim roku wyjechałam na trzymiesięczne letnie kursy językowe na Uniwersytecie Stambulskim i tam zaczęłam mówić – i coraz więcej rozumieć – po turecku. A później szlifowałam język już w praktyce.

A czym się zająłaś po studiach?

Przewinęłam się przez podyplomowe dziennikarstwo, a w październiku 1988 r. zostałam przyjęta na stanowisko asystenta na turkologii. Dwa lata później wyjechałam jako tłumacz na budowę elektrowni na południu Turcji. Później wyjeżdżałam jeszcze na inne kontrakty, „budując” między innymi kawałek autostrady Edirne–Stambuł.

Zaraz po studiach zgłosiłam się do sądu wojewódzkiego i zarejestrowałam jako tłumacz przysięgły języka tureckiego. Wówczas wystarczył tylko dyplom ukończenia studiów filologicznych. Na szczęście miałam jednak dość rozumu

Tłumaczka na budowie autostrady w europejskiej części Turcji



i przyzwoitości, że stwierdziłam, że nie znam jeszcze na tyle dobrze języka, by praktykować. Dopiero po powrocie z ostatniego kontraktu w Turcji poczułam, że jestem w stanie tłumaczyć przysięgę. Tłumacz to jest zresztą zawód, który wymaga nieustannego kształcenia się.

Przy tym cały czas byłaś zatrudniona na Uniwersytecie, tak?

Całe moje życie zawodowe jestem pracownikiem UW, ale jednocześnie miałam się różnych innych zajęć, gdyż jak wiadomo – praca na uczelni pozwala się realizować i rozwijać, ale niestety nie zapewnia odpowiedniej wielkości podstaw materialnych bytu. Zwłaszcza w czasach transformacji ustrojowej w latach 90. ubiegłego wieku. W dniu, kiedy wróciłam z Turcji po ostatnim kontrakcie na budowie metra w Ankarze, zadzwoniła koleżanka ze studiów, która pracowała w redakcji czasopisma kobiecego, i powiedziała, że poszukują kogoś na zastępstwo – i tak zostałam redaktorem w dużym wydawnictwie prasowym. Codziennie rano o ósmej trzydzieści zaczynałam zajęcia, kończyłam o dziesiątej, potem szybko w tramwaj i do pracy do redakcji, gdzie z reguły siedziałam do oporu. Jak teraz na to patrzę, to widzę, że była to dobra szkoła. Jeśli się komuś wydaje, że pisanie dla „garkotłuków” jest czymś prostym, to się grubo myli, bo jest to zdecydowanie trudniejsze niż pisanie dla ludzi, którzy są na naszym poziomie, kiedy nie musimy wkładać wysiłku w to, by zostać zrozumiani. Nauczyło mnie to dyscypliny pisania, dokonywania selekcji – i teraz jeżeli mam mieć tekst o ograniczonej objętości, to jestem w stanie tam ująć wszystkie najważniejsze rzeczy.

A te poranne godziny? Jakim przedmiotom były poświęcone twoje zajęcia ze studentami?

Prowadziłam głównie naukę tureckiego oraz tak zwaną lekturę tekstów. Chodziło w niej o to, by studenci nauczyli się tłumaczyć długie tureckie zdania, żeby przyzwyczajali się do odwrotnego szyku wyrazów i potrafili się łatwo zorientować, co jest czym w zdaniu, a także rozwijali swoje słownictwo i podejmowali próby przekładu na język polski. Teraz niektórzy moi dawni studenci robią doktoraty, zostali tłumaczami i mówią mi, że im się te zajęcia podobały i wiele się podczas nich nauczyli. Dla mnie te zajęcia też były przyjemnością, bo po prostu można było coś ciekawego przeczytać i o tym porozmawiać.



Poważne sprawy tu omawiamy, więc czas na małe divertimento. Od dzieciństwa fascynował mnie dźwięk twoich dwóch imion. Opowiedz nam o nich.

Rodzice byli zgodni co do tego, że będę Anią. Mama była miłośniczką Ani z Zielonego Wzgórza. Ojciec z kolei chciał, żeby córka otrzymała imię jego siostry, która zmarła młodo jeszcze w czasie wojny – wszak zgodnie z karaïmską tradycją dzieciom nadaje się imiona po zmarłych krewnych. Drugie imię miało być natomiast karaïmskie. Pierwszym wyborem było krymskie Ałtynkыз, czyli „Złota dziewczyna”. Mama się sprzeciwiła, bo brzmiało okropnie, trudno było je zapamiętać i tak dalej. I wtedy

Praca tłumacza na budowie była znakomitą okazją do doskonalenia znajomości języka i pozwalała poznać Turcję od tej strony, którą rzadko mogą zobaczyć turyści

ojciec wpadł na pomysł nazwania mnie Akbike. Takie imię nosiła matka Seraji Szapszała, którego ojciec darzył ogromnym szacunkiem. A teraz mam nie tylko dwa imiona, ale i dwa nazwiska.

Brzmiące niebanalnie...

Bywa zabawnie, ponieważ na Annę Akbike przychodzi korespondencja do mnie jako tłumacza przysięgłego z sądów. Nadawcy czasem traktują to drugie imię jako nazwisko i adresują: Anna Akbike-Sulimowicz. Kiedyś pani w okienku sylabizuje: „Akibke, Abibke...” i w końcu z uśmiechem woła: „A, to pani też ma męża Nigeryjczyka?”. Raz mi się jednak to imię naprawdę przydało. Na dziennikarstwie zdawałam egzamin u profesora Tadeusza Kupisa, o którym wiadomo było, że lubi podczas przepytывania przeglądać indeks studenta, a kiedyś na wykładzie się przyznał, że pochodzi z Kresów. W indeksie figurowałam tylko jako Anna, ale wzięłam flamaster i dopisałam Akbike. Wiedziałam, że na pewno go to zainteresuje i miałam nadzieję, że jak się dowie, że jestem Karaimką, to może jakoś uda mi się skierować rozmowę na temat Kresów i łatwiej pójdzie. No i się nie przeliczyłam. Profesor od razu spytał: „A skąd takie imię?”. – „A karaimskie.” – „A ja znam Karaimów, jestem z Lidy.”

(śmiech) Wtedy ty udałaś zaskoczenie?

Wtedy ja: „Ojej, to się tak rzadko zdarza, panie profesorze, że ktoś wie w ogóle o Karaimach...” I potem już poszło gładko.

A co znaczy to imię?

Ak znaczy biały, a bike, *bijcze* to ‘pani, królowa’, czyli „Biała królowa”, coś w tym rodzaju. W czasach studenckich używałam tego imienia w Turcji, bo Turkom łatwiej było je zapamiętać, w Polsce posługiwałam się nim bardzo rzadko. Sama o sobie zawsze myślałam po prostu jako o Ani Sulimowicz. Gdy skończyłam pierwsze tłumaczenie powieści Pamuka, *Domu ciszy* konkretnie, dostałam do korekty tekst przygotowany do druku, ale bez strony tytułowej i okładki. Gdy przyszedł egzemplarz autorski, otworzyłam paczkę i przeczytałam na stronie tytułowej: „Przełożyła Anna Akbike Sulimowicz”. „To nie ja!” – pomyślałam w pierwszej chwili. „Przecież ja się tak nie nazywam!” Okazało się, że w wydawnictwie uznali, że to fajne imię, a skoro w umowie tak były zapisane moje dane, zdecydowali się je umieścić na stronie tytułowej.

Tak postanowiło niezwykle zasłużone dla polskiej kultury krakowskie Wydawnictwo Literackie, którego księgarnia firmowa stanowiła cel pielgrzymek z Gołębniaka i motywację do udzielania korepetycji, z czego się tylko dało... Jak doszło do waszej współpracy?

Pracowałam jako tłumacz przysięgły, ale jakoś nigdy mi nie przyszło do głowy, że mogłabym coś z literatury tureckiej przełożyć na polski.



➡ W tym pomalowanym na czerwono budynku mieści się Muzeum Niewinności założone przez autora *Muzeum niewinności*, Orhana Pamuka. Jest to obowiązkowy punkt programu pobytu w Stambule czytelników powieści – i jej tłumaczy też

➡ A jak Stambuł, to koty, koty, koty! W mieście jest ich mnóstwo i są wszelkich odmian i kolorów



Na zajęciach sporo czytałam ze studentami i razem tłumaczyliśmy, zastanawiając się nad możliwościami oddania specyfiki tekstu tureckiego w języku polskim. Moja była studentka, która kilka lat wcześniej skończyła turkologię, przełożyła dla Wydawnictwa Literackiego *Śnieg* Pamuka. Gdy pisarz dostał Nobla, na fali popularności jego twórczości postanowiono wydać cały dorobek pisarza. Zwrócono się do turkologów z propozycją, by przysłać próbkę, tłumaczenie dowolnego stron dowolnej innej powieści Pamuka. Pamiętam, że akurat pojechałam na wezwanie sądu do Słupska, ale rozprawa się nie odbyła i zwiedzałam miasto, gdy zadzwonili z wydawnictwa. I tak właściwie z głupia frant stwierdziłam, że dobra, spróbuję. Wybrałam początek *Domu ciszy*, uznając, że będzie się to dobrze tłumaczyć, bo tam są dialogi, więc jest to taki zwarty, gęsty tekst.

Jednak na tych pierwszych stronach pojawia się też „strumień świadomości” babki, skomplikowany typ narracji, gdzie elementy eseju mieszają się z chaotycznymi wspomnieniami i wyznaniemi.

Postać babki jest bardzo ważna. Stanowi łącznik między dawnymi czasami a nowymi, pokazuje też, że mimo wielkich przemian pewne rzeczy, pewne postawy w tureckim społeczeństwie pozostają wciąż takie same. *Dom ciszy* to moja ulubiona powieść Pamuka, bo opisuje Turcję, jaką ta była krótko przed moim pierwszym przyjazdem do niej. To jest Turcja na moment przed przewrotem 12 września 1980 roku, ale ukazana z perspektywy kogoś, kto już to przeszedł, kto tę cezurę miał za sobą. Bardzo mi się też podoba zabieg pisarza, że poznajemy bohaterów poprzez ich narrację o wydarzeniach. I tylko jedna osoba nic nam sama nie opowiada, wiemy o niej tylko tyle, co inni mówią. To Nilgün.

Ta najsympatyczniejsza z postaci, której głos został brutalnie odebrany... Z dzieł Pamuka przełożyłaś dwie powieści ogromnych rozmiarów, dwie niewielkie oraz zbiór bardzo osobistych esejów. Poza *Domem ciszy*, które jeszcze są dla Ciebie „naj-” i w jakich kategoriach?

Największą satysfakcję sprawiało mi chyba tłumaczenie *Czarnej księgi* ze względu na ukazany tam obraz Stambułu jawiącego się czytelnikowi jako mroczny, oniryczny labirynt. Pamukowska fascynacja zimą i śniegiem może się nam wydawać

dziwna, ale inne realia atmosferyczne stanowiłyby odpowiedniego tła dla zawiłej opowieści o poszukiwaniu i tajemnicy. Dla tłumacza ta powieść jest wyzwaniem nie tylko ze względu na długie zdania przypominające powoli rozwijający się zrolowany dywan. Narracja jest tu prowadzona przez dwóch narratorów: bohatera relacjonującego wydarzenia i snującego własne rozmyślenia oraz autora felietonów, które są trochę związane z fabułą, ale też otwierają przed nami, jak w kalendarzu adwentowym, kolejne szkatułki, a w każdej znajdujemy coś nowego i frapującego, takie opowieści w opowieści. Kojarzy mi się to – choć to dość odległe skojarzenie – ze strukturą eposów, gdzie pewne partie napisane są prozą i posuwają akcję naprzód, a między nimi pojawiają się partie wierszowane, w których bohaterowie wyrażają swe uczucia, myśli i pragnienia. W *Czarnej księdze* rolę takich komentarzy pokazujących miasto i jego mieszkańców z innej strony pełnią właśnie te felietony. Ta gra z czytelnikiem też stanowiła wyzwanie, bo język felietonów brzmi inaczej i trzeba je było w nieco odmienny sposób tłumaczyć.

A co lubisz w *Muzeum niewinności*?

Z osobistej perspektywy to, że finał powieści dzieje się latem 1984 r. i to jest dokładnie ten sam czas, kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Turcji jako studentka po drugim roku turkologii. I gdy bohater powieści Kemal kupuje dla Füsun, swojej spełnionej-niespełnionej miłości, kredki na Ankara Caddesi, mam przed oczami te sklepy papiernicze, gdzie sama kupowałam japońskie ołówki. Bardzo ładne, kolorowe, błyszczące, przyciągały uwagę zwłaszcza po powrocie do szarej PRL-owskiej rzeczywistości.

Jednak przede wszystkim fascynuje mnie spojrzenie Pamuka na Prousta, pisarza, którego pokochałam jeszcze w liceum. Tu Pamuk czyta Prousta i opowiada o miłości w tureckich warunkach, miłości przechodzącej w obsesję, pozbawionej możliwości powiedzenia wszystkiego wprost, zmuszonej do kompromisu, spętanej jednocześnie normami społecznymi i inercją bohatera. *Muzeum* mówi o niemożności i nieumiejętności przejścia do działania, podjęcia ryzyka oraz o późniejszym żalu, że coś mogło być, a się nie wydarzyło, a także o obsesyjnej próbie odtworzenia i zachowania tego, co się straciło – bohater czyni to, podkradając drobne przedmioty z domu

ukochanej. Jednocześnie są w tej powieści całe fragmenty, które tłumaczą, dlaczego pewnych rzeczy w Turcji nie można robić, a inne wręcz robić należy, jak postrzegają siebie i świat Turcy. Jest tu więc poniekąd zawarta instrukcja obyczajowej obsługi Turcji.

(śmiech) Padają tu ciężkie słowa: obsesja, podkradanie, instrukcja. To wszystko pasuje do tej powieści, ale zarazem jest ona tak subtelnie napisana, że czytelnik zdaje się żeglować wśród obłoków i barwnych pajęczyn.

Tę powieść albo się pochłania jednym tchem, albo odkłada, nie doczytawszy nawet do połowy. Wydaje mi się, że bardziej przypada do gustu kobietom (choć zdarzają się wyjątki), a mężczyźni raczej wolą np. *Biały zamek*.

Może dlatego, że to osadzona w przeszłości opowieść o męskich pasjach. Ja pokochałam Biały zamek, bo miałam ojca historyka i turkologa, a od dziesięcioleci przyglądam się mężowi i trójce naszego potomstwa, wielbicielom nauk ścisłych i trudnych konstrukcji.

Ta książka opowiada też o niemożności porozumienia się – między reprezentującymi Wschód i Zachód, nieznanymi nawzajem swoich języków bohaterami, którzy przekonują się, że każdy z nich będzie się lepiej czuł w skórze drugiego, i zamieniają się miejscami, a właściwe swoimi życiami. Mamy w niej w pewnym sensie polski wątek, a mianowicie tłem akcji jest między innymi osmańska wyprawa na Chocim.

W kategorii „naj-” to na pewno jedna z ważniejszych książek dla samego pisarza. To pierwsza powieść, która przyniosła mu międzynarodowy rozgłos – jej przekład na angielski otrzymał w 1990 r. Independent Award for Foreign Fiction (Niezależną nagrodę dla prozy obcej). Co ciekawe, rok później francuskie wydanie *Domu ciszy* nagrodzono Prix de la Découverte Européenne. I tu też pojawia się polski – i po części także karaimski – wątek. Tłumaczką powieści była Münevver Andaç – prawniczka Polaka-poturceńca, Konstantego Borzęckiego alias Mustafy Celaledina Paszy, postaci bardzo zasłużonej dla historycznej świadomości Turków i tworzenia ich tożsamości jako narodu. Münevver związała się ze swoim kuzynem, też prawnikiem Borzęckiego, Nazimem Hikmetem, jednym z najwybitniejszych tureckich poetów XX wieku, a jednocześnie zagorzałym

komunistą. Krótco po narodzinach ich syna Nazim w tajemnicy uciekł z kraju i wylądował w Moskwie. Münevver została w Stambule, aż po dziesięciu latach wobec nasilającej się inwigilacji i zagrożenia ze strony służb też zdecydowała się uciec za granicę. Dotarła do Polski, gdzie okazało się, że poeta ma już w Moskwie nową żonę i nie jest zainteresowany ani poprzednią partnerką, ani ich wspólnym dzieckiem. Wtedy pomogli jej polscy turkolodzy – m.in. profesor Ananiasz Zajączkowski, a także mój ojciec. Udało się załatwić dla niej mieszkanie, otrzymała polski paszport, przyjęła nazwisko Borzęcka i podjęła pracę jako lektorka języka tureckiego w ówczesnym Instytucie Orientalistycznym. Swoich studentów zapoznawała też z literaturą turecką. Jej uczniem był Jerzy Tulisow, który bardzo pięknie tłumaczył wiersze poetów tureckich – a dla „Awazymyz” przełożył też z rosyjskiego karaimskie legendy. Po kilku latach Münevver wyjechała do Francji i tam osiadła na stałe. Tak więc w pewnym sensie sukces Pamuka wiąże się z tym, że polscy turkolodzy, w tym Karaimi, udzielili pomocy jego przyszłej tłumaczce w najtrudniejszym dla niej czasie.

Skoro mówimy o turkologach, muszę spytać, jakich swoich wykładowców wspominasz najlepiej?

Przed wszystkim profesora Tadeusza Majdę, ucznia profesora Ananiasza Zajączkowskiego. Wykładał literaturę turecką, ale największym obiektem jego zainteresowania była sztuka

W siedzibie warszawskiej turkologii z prof. Tadeuszem Majdą i dr Marzeną Godzińską



turecka i ogólnie muzułmańska – jego wykłady ilustrowane mnóstwem przeźroczy były fascynującą, pełną kolorów podróżą w czasie i przestrzeni.

Dr Wojciech Hensel, turkolog, historyk-osmanista o bardzo szerokich zainteresowaniach, uczył mnie historii Turcji – przyznam, że egzamin z tego arcytrudnego, bo niezwykle obszernego przedmiotu, też zdałam fuksem. Wojtek (jeszcze na studiach mogłam tak mówić – element ówczesnej turkologicznej tradycji stanowił bruderszaft na piątym roku) był zapalonym tenisistą. Telefon z Polskiego Związku Tenisowego wzywający go w jakiejś ważnej sprawie ocalił mą głowę dokładnie w tym momencie, gdy zaczęłam się płątać w zawiłościach licznych wypraw wojennych prowadzonych przez Turcję w XVII wieku.

Moim najulubieńszym wykładowcą był oczywiście wujek Olek, czyli dr Aleksander Dubiński, prowadzący wykłady z gramatyki języka tureckiego na pierwszym i drugim roku, a później seminarium, na którym odsłonił przede mną świat Karaimów.

Czy już na studiach zainteresowałaś się nauką języka naszych przodków?

Tak i zawdzięczam to właśnie jemu, wujkowi Olkowi Dubińskiemu, który wciągnął mnie nie tylko w turkologię, ale i w sprawy karaimskie, w język, religię i literaturę Karaimów. Zawsze wspominam wujka z wielkim sentymentem, z sympatią i szacunkiem, bo był to człowiek o ogromnej wiedzy, a przy tym niezwykle miły i uczynny.

Po trzecim roku pojawiła się kwestia wyboru tematu pracy magisterskiej i wujek zaproponował, żebym pisała o Aleksandrze Mardkowiczu. Wiedziałam, kto to jest, mieliśmy w domu jego publikacje – jak wiadomo, wydawane w języku karaimskim. Ponoć jako dziecko mówiłam co nieco po karaimsku, bo ojciec zwracał się do mnie w tym języku. Jednak gdy odszedł, większość tego zapomniałam, z wyjątkiem paru słów, takich jak np. *bicak* – ‘nóż’ czy *tync kieceli bołhajsiz* – ‘dobranoc’, no i wyuczonych na pamięć wierszyków i pieśni w rodzaju *Karaj edim, karaj barmen* Zachariasza Abrahamowicza. Z wujkiem Olkiem zaczęłam więc naukę praktycznie od zera. Polegało to na tym, że miałam *Krótki zarys gramatyki języka karaimskiego* Ananiasza Zajączkowskiego, wydany przez Mardkowicza w 1930 roku, gramatykę Musajewa oraz *Słownik karaimsko-rosyjsko-polski*.

Wyposażona w te pomoce naukowe zaczęłam pod okiem wujka lekturę wydanej przez Mardkowicza bajki *Eljahunun ucuru*. Później przyszła pora na teksty w alfabecie hebrajskim, którego też nauczył mnie wujek, i czytaliśmy modlitwy i utwory religijne wydane przez Feliksa Maleckiego.

Prawdziwą szkołą okazała się jednak wspólna praca nad katalogiem rękopisów karaimskich. To było niczym dawny karaimski midrasz – choć do niego, jak wiadomo, dziewczyn nie przyjmowano. Przygotowywałam opisy rękopisów: papier taki a taki, żeberkowy albo nie, atrament galasowy brązowy lub czarny i tak dalej, taki ogólny opis. Musiałam też nauczyć się czytać rękopisy, by wiedzieć, co jest ich treścią i spisać incipity utworów.

Dzięki wujkowi poznałam też karaimskie towarzystwo oraz wciągnęłam się w działalność kulturalną i popularyzującą wiedzę o Karaimach.

Między innymi redagowałaś pierwszy numer „Awazymyz”

...który był owocem spotkania podczas jednego ze zjazdów karaimskich. Składałam go sama na maszynie do pisania czeskiej marki Consul. Okładkę zdobiła moja „orientalna” wycinanka. Później Marek Firkowicz u siebie w pracy odbijał go na ksero i takie zszywki żeśmy robili. Do tego pierwszego numeru tłumaczyłaś wiersze Zachariasza Abrahamowicza, pamiętasz?

Raczej wspólnie go tłumaczyłyśmy, co zresztą robimy do tej pory, jak widać po obecnym numerze. Potem przez wiele lat byłaś redaktorem tego naszego pisma.

Niestety, od razu na początku nastąpiła długa przerwa, ponieważ pierwszy numer ukazał się w 1989 roku, a rok później zaczęły się moje wyjazdy do Turcji. Zdążyłam jeszcze zebrać materiały do drugiego numeru, ale potem nie miałam już możliwości się tym zajmować, zwłaszcza gdy na kilka lat trafiłam w kierat uczelnia-redakcja. Dopiero po dekadzie tytuł ożył za sprawą Marioli Abkowicz. W 2008 r. rozstałam się definitywnie z zawodem redaktora prasy kobiecej i mogłam więcej czasu poświęcić sprawom karaimskim. Wtedy razem z Mariolą Abkowicz przygotowałyśmy wystawę „Karaimskie drogi”.

...która okazała się dużym sukcesem. A czy miałaś też do czynienia z innymi, poza Aleksandrem

Portret współczesny

Karaimi w Polsce



Dubińskim, orientalistami pochodzenia karaïmskiego?

Pewnego razu przyjechał do Warszawy młody student z Krakowa, Michał Németh, którego wcześniej nie spotkałam, ale znałam jego dziadków, mamę i ciocię. Pokazywałam mu zbiory mojego ojca i pomyślałam wtedy sobie, że ma w głowie równo poukładane, ponieważ potrafi wybierać, to znaczy nie rzuca się na materiały taśmowo, tylko patrzy krytycznie, co się nadaje, co mogłoby mu się przydać. Później Michał napisał doktorat na podstawie starych karaïmskich listów z archiwum mojego ojca. Wspólnie pracowaliśmy też w jego projekcie katalogu rękopisów karaïmskich. A gdy w 2018 r. dostał grant ERC, czyli Europejskiej Rady Badań Naukowych, grant niezwykle ważny i prestiżowy, miałam zaszczyt i przyjemność pracować z nim nad karaïmskimi przekładami *Biblii*, które są niezwykle ciekawe, wręcz fascynujące.

To dzięki temu każdy z nas ma teraz w domu pięknie wydany w Bitiku egzemplarz Pięcioksięgu w przekładzie na karaïmski. Wiosną tego roku prowadziłaś online seminaria popularnonaukowe o religii karaïmskiej dla młodzieży. Jak się potoczyły i czy planujesz ciąg dalszy?

Nieźle nam to wyszło w zeszłym roku – akademickim oczywiście. Ku memu zaskoczeniu udział wzięło całkiem sporo osób – z początku młodzieży, potem proporcje się odwróciły i przedstawiciele nieco starszego pokolenia zaczęli przeważać na liście obecności. Omówiliśmy podstawy religii, główne święta, obrzędowość dotyczącą narodzin, ślubów i zgonów – właściwie powinnam powiedzieć: zgonów, ślubów i narodzin, bo uczestnicy wyrazili wolę, by zacząć od tego, co się najprędzej może przydać, czyli niestety obrzędów



- Otwarcie wystawy „Karaj jołlary – Karaimi w dawnej fotografii” na UW – z przewodniczącym KZR prof. Szymonem Pileckim i ambasadorem Turcji Yusufem Ziyâ Özcanem
- Wernisaż wystawy w Białymstoku był okazją do opowieści o pochodzeniu i dziejach Karaimów
- W Wilnie podczas nagrań ostatnich użytkowników języka karaïmskiego z Michałem Némethem i Jonasem Samulavičiusem



związanych z pochówkiem. A potem zeszło trochę na sprawy historyczne, wróżby i temu podobne. Planowałam do tego powrócić teraz, w grudniu, ale pewnie będzie to możliwe w nowym roku dopiero, bo sprawy służbowe i rodzinne nie pozostawiają mi wiele czasu. Chcę jednak ten cykl wznowić, bo uważam, że warto. Dobrze by było wyjść poza to, o czym mówili nasi ojcowie. Oni – w innych zupełnie warunkach – stworzyli pewien kanon myślenia o Karaimach, który w obecnych czasach absolutnego, bezproblemowego dostępu do rozmaitych informacji i źródeł należałoby nieco uaktualnić. Wkładanie głowy w piasek niewiele nam da i trzeba po prostu wiedzieć różne rzeczy i znać argumenty, żeby w ogóle podjąć się dyskusji.

Nieprzypadkowo zostałaś ostatnio przez naszą społeczność wybrana przewodniczącą Karaimskiego Związku Religijnego.

Niejednomyślnie, ale tak. Jednak wybór odrzuciło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, więc nie ma już o czym mówić. Zgodziłam się kandydować, bo jestem zdania, że trzeba resuscytować KZR, troszeczkę, że tak powiem, go odkurzyć i zacząć nieco bardziej eksponować religijny element karaimskiej tożsamości, nie zajmować się wyłącznie folklorem i etnicznością, bo przecież jesteśmy także społecznością wyznaniową.

Cóż, pozostaje nam dyplomatycznie odchrząknąć i zmienić temat. W naszych lingwistycznych rozważaniach nie wspomnieliśmy dotąd o ojczystym języku twojego męża. Jak wygląda codzienna komunikacja w waszym domu?

Zygfryd, znany jako Ziggy, jest Niemcem. Poznaliśmy się w Turcji, w Ankarze, dokąd pojechałam na kilkumiesięczne stypendium badawcze. Pojawił się na koktajlu w polskiej ambasadzie i od razu zwróciłam uwagę na męzczyznę o wyglądzie artysty, z długimi włosami, w granatowej koszuli z zieloną muszką. Pytałam kto to, ale nikt nie wiedział. Przypuszczałam, że to ktoś z Uniwersytetu Bilkent, gdzie w konserwatorium wykładali polscy muzycy jazzowi i może któryś z nich go wprowadził. Okazało się jednak, że to... hydraulik zatrudniony przy remoncie niemieckiej ambasady. Znajomość tak się nam rozwinęła, że już trzydzieści jeden lat jesteśmy razem, w tym siedem na „legalu”, czyli po ślubie.

Początkowo rozmawialiśmy po angielsku z dodatkiem wyrazów tureckich, które Ziggy zdążył



- ▲ Nad karaimskimi rękopisami z prof. Henrykiem Jankowskim
- ◀ Z mężem Siegfriedem, czyli Ziggim, na wakacjach w ukochanym Swinoujściu

poznać w kontakcie z Turkami w pracy. Mieszkając razem w Turcji, mieliśmy niemiecką telewizję, z niej zaczęłam się uczyć języka, bo co prawda na studiach miałam lektorat, ale nie bardzo się do nauki przykładałam. Stopniowo odchodziłmy od angielskiego na rzecz niemieckiego, a później, kiedy Zygfryd przyjechał do Polski i zaczął tu pracować, nauczył się polskiego i teraz czasami jest tak, że on do mnie mówi po polsku, ja mu odpowiadam po niemiecku. Wiem, że moja niemczyzna nadal jest daleka od perfekcji, ale jesteśmy już na takim etapie, że nie muszę nawet otwierać ust, on i tak wie, co chcę powiedzieć.

(śmiech) A to jest prawdziwy lingwistyczny sukces! Bardzo serdecznie dziękujemy za inspirującą rozmowę.

Fot. z archiwum Anny Sulimowicz-Keruth